



Mirosław Derecki (M.D.)

## EKRAN I WIDZ: WOŁANIE O UCZCIWOŚĆ

Najnowszy film Andrzeja Wajdy „Dyrygent” mówi o tym, że sztuki nie można jedynie chcieć uprawiać, choćby się miało nawet najbardziej odpowiednie po temu predyspozycje. Prawdziwym twórcą jest dopiero ten, kto potrafi się sztuce poświęcić. Kto jest całkowicie uczciwy wobec idei, której się oddał.

Nie pierwszy raz Wajda penetruje ów obszar: sztuka-twórca, idea-uczciwość. Podobne problemy przewijały się i przez „Wszystko na sprzedaż”, przez „Polowanie na muchy” czy wreszcie - „Bez znieczulenia”. W pierwszym przypadku chodziło o środowisko aktorskie i filmowe, w drugim o „artystyczne” w ogóle, w „Bez znieczulenia” – o pisarskie, dziennikarskie. Tym razem sięgnął Wajda do świata muzyki. Akcja „Dyrygenta” rozgrywa się w środowisku artystów-muzyków, główne dramatis personae, to wielki dyrygent, dyrygent mierny oraz utalentowana skrzypaczka; wszystko zaś spowite jest w dźwięki V Symfonii - Ludwiga van Beethovena. Muzyka nie jest zresztą w „Dyrygencie” tylko tłem akcji, zajmuje - jak to się ostatnio coraz częściej dzieje we współczesnym kinie - pozycję równorzędną z obrazem, sztuką aktorską, literaturą. Warto też zwrócić uwagę na przekształcający się w ciągu ostatnich lat stosunek Wajdy do kobiety: od jawnego mizoginizmu w „Polowaniu na muchy” po dominującą rolę kobiety w życiu uczuciowym, jej pozycją jako strażniczki równowagi rodzinnej i ostoji mężczyzny - najpierw w „Pannach z Wilka”, a teraz, szczególnie, właśnie w „Dyrygencie”.

Prosty z pozoru wątek dramaturgiczny „Dyrygenta” dotyka przecież całego szeregu niezwykle ważkich i złożonych problemów, których starczyłoby na kilka osobnych filmów. Tym bardziej ostatnie dzieło Wajdy skłania do snucia osobistych refleksji, zmusza do myślenia. Może zresztą właśnie o to reżyserowi chodziło, gdy decydował się na kręcenie „Dyrygenta” w sposób niezwykle oszczędny w sensie plastycznym - kameralny, „telewizyjny”.

Kanwą fabularną jest w „Dyrygencie” historia młodej pary muzyków: skrzypaczki i dyrygenta, pracujących w niewielkiej orkiestrze symfonicznej w prowincjonalnym mieście. Wszystko układa się dobrze do chwili, kiedy Marta (Krystyna Janda) otrzymuje stypendium artystyczne Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku. Podczas pobytu w Stanach

Zjednoczonych poznaje wybitnego dyrygenta, Johna Lasockiego (postać tę odtwarza utalentowany angielski aktor polskiego pochodzenia, John Gielgud), który kiedyś kochał się w jej matce i przed laty, z powodu niespełnionej miłości, wyjechał za granicę. Poruszony spotkaniem Marty, postanawia Lasocki odwiedzić kraj oraz swoje rodzinne miasto. To samo, w którym teraz pracują Marta wraz z mężem.

Przyjazd światowej sławy dyrygenta to ogromne przeżycie dla tutejszej orkiestry symfonicznej, dla zafascynowanej nim Marty, a najbardziej może dla kierującego orkiestrą Adama (Andrzej Seweryn), który w tym przyjeździe widzi olbrzymią szansę dla siebie. Szansę nawiązania kontaktów w skali międzynarodowej, możliwość światowej kariery. Tym bardziej, że prowadząca teraz próby pod batutą samego Johna Lasockiego orkiestra przygotowuje się do swego pierwszego wielkiego występu. Za pośrednictwem telewizji obejrzy ją i usłyszy nie tylko cała polska, ale i także wiele krajów na świecie.

Lecz tu zaczynają się problemy. W konfrontacji z artystyczną osobowością Lasockiego staje się coraz bardziej widoczna miałość i przeciętność Adama. Nie tylko jako artysty, ale również jako człowieka. Zazdrość, konformizm, brak własnego zdania, brak prawdziwego zainteresowania ludźmi (i - być może - nawet muzyką?), którymi dotąd dyrygował i chce dyrygować nadal, wymagając przede wszystkim absolutnego, bezmyślnego posłuszeństwa, to wszystko uwidacznia się nagle wyraziście przed oczyma Marty i całej orkiestry, na zasadzie kontrastu, w czasie prób prowadzonych przez Lasockiego.

Lasockiego znają w świecie z chimeryczności, trudnego charakteru, wybuchów gniewu, ale jest on zarazem w pełni oddany sztuce i... ludziom. Rozumie i kocha. Bo wie, że jedno nie może istnieć bez drugiego. Ten stosunek do sztuki i do ludzi, którymi przychodzi mu kierować, uwydatnia się w sposób szczególnie dobitny w momencie, gdy przed oczekiwanym przez wszystkich koncertem Lasocki orientuje się, że „dla dobrej sprawy” podmieniono w zespole niektórych artystów sprowadzonymi specjalnie z Warszawy filharmonikami. „To nie jest moja orkiestra, nie będę dyrygował!” - mówi z oburzeniem. I wychodzi z sali.

Problemy sztuki zwiążą się dla Marty z problemami osobistymi: czy ma odejść, poświęcając się tylko muzyce, które wydaje się być jej całym życiem, czy powinna zostać z mężem, któremu jest potrzebna, z dzieckiem, z rodziną, choć, najprawdopodobniej, złamie jej to życie?

W „Dyrygencie” Marta wydaje się być jakby Agnieszką z „Człowieka z marmuru”. Tylko - starszą o kilka lat, bardziej dojrzałą, głębiej rozumiejącą sprawy otaczającego ją świata. (W pierwszej, „nowojorskiej” sekwencji filmu Marta poprzez swój ubiór, sposób chodzenia, zachowanie, bezustannie przywodzi na myśl tamtą postać, stworzoną także przez Krystynę Jandę). I bardziej niż Agnieszka skłonna do wyrzeczeń dla obrony rodziny, miłości, własnego człowieczeństwa...

Lecz problemy zawarte w „Dyrygencie” wcale nie stają się przez to mniej ważne. Zresztą, czy dotyczą one jedynie spraw sztuki i miejsca artysty w świecie? Jego uczciwości? Czy filmu Wajdy nie należy - kolejny raz - rozumieć jako wielkiego uogólnienia?

Pierwodruk: „Kamena”, 1980, nr 9, s. 14.